

Dziwna to była kamienica, z inkrustowaną schizofrenicznie zniekształconymi kamiennymi głowami fasadą, rzeźbionymi balkonowymi rantami, których nieprzyzwoicie poskręcane, w pierwotnych uściskach, esyfloesy spływały w dół, raniąc ostrymi szpicami kolejne piętra, ornamentowe dziwadła brały w posiadanie te mury, wbiwszy się w tynk, przenikały do krwiobiegu, zastępując zdrową ceglana tkankę metalowymi wtrętami. Wydrążone w cegle Maszkarony, wykrzywione bólem i wojennymi bliznami, trwały na posterunku, nie czekając na nic. Po prostu - trwały. Surowy, poraniony fronton wieńczył, zdobiony wydłubanymi falbankami akoterion, równie posępny, jak i cała reszta, umyślnie wepchnięty między budynek a niebo, zabraniający słońcu wstęp na podwórze, wiecznie zacienione. Całość, z zewnątrz przypominała znieruchomiącego nieodwoływalnym zaklęciem trolla - białego w zieleniejącą latem, zimą zaś - rozbłyskującą światłem zniczy cmentarną dzielnicę, tu - nieśmiertelność bywała jedynie udziałem drzew - buków, klonów i niezliczonych wierzb, kołyszących się w takt funeralnych marszy, niemych towarzyszek ostatnich dróg, odgrywanych na babcinej ulicy.

"Kochałem się w jesieni - gdy - cała babcina ulica płynęła, klonami, różnokolorowo wybuchającymi, raz po raz, jako zwiastun rychłej śmierci wszystkiego żywego stworzenia, ponad wszystkim - ponuro królował mdły zapach nadchodzącego końca, przywiany gdzieś zza muru żydowskiego cmentarza - wraz z kończyną odjętego przybyłkowego raję. Można było chwilami odnieść wrażenie, że Kostucha urządziła sobie w tym rejonie geometryczny festiwal, z matematyczną dokładnością celebrując, odmierzane cyrklem, wektory swojego działania. Nasza kuchnia bowiem, stanowiła dokładny środek trójkąta, wyznaczonego przez dwa okoliczne cmentarze - starozakonny i miejski, trójkąta zwieńczonego, doklejonym do szpitala, wyglądem swym do złudzenia przypominającym leninowskie Mauzoleum, prosektorium. Codziennie niemal, gdy z oddali rozbrzmiewać poczęły pierwsze takty orkiestrowych żałobnych marszów, siadaliśmy z babcią przy oknie, porzucając wszystkie dotychczasowe zajęcia, siadaliśmy, głębokimi wdechami chłonąc przepływający obok nas korowód zapachów, dźwięków - cmentarnych, zawodzących: najsamprzód kościelny, niosący krzyż, za nim strzelisty Ksiądz Dziekan - powłóczył czernią, z oczami wzniesionymi ku niebu, nieobecny w tym swoim pochodzie, dalej orkiestra - napędzająca muzykę stężałym od wódki i piwa powietrzem, napędzająca tragicznie, a na samym końcu, tuż za trumną, wiezioną na dyżurnym parafialnym katafalku - żałobnicy, patrzyłem na nich, odgadywałem ich myśli - wiedzieli o tym, neurastenicznymi spojrzeniami obdarzając przegładką taflę babcinego okna - weneckie lustro, przez które, jak radar, wysyłałem badawczy impuls, chłonałem: pijane takty rozpadały się na błyszczące, czerwieni i złotem, mieniające się w słońcu nuty, te - wirowały, coraz to szybciej, by, po chwili opaść na bruk żółcią i brązem liści. I wówczas - znów słyszałem anielskie chóry, modlitwy tych, którzy modlić się już nie mogli, polifoniczną dostojność, odpływałem, przestawałem istnieć, każde takie swoje nieistnienie kończąc przeciągłym, wyrzuconym z trzewi krzykiem."

Mieszkaliśmy podówczas na parterze, suterene zajmował zdegradowany amputacją Przybyłek - były król żydowski, jednonożny ormowiec, który, pozbawiony przez los (przy wybitnym współudziale mściwego chirurga) kończyny, przekwalifikował się na proszalnego dziada, w krótkim czasie stając się w swoim nowym fachu arcymistrzem. Mieszkanie po drugiej stronie korytarza zajmowała pani Irma - wraz ze swoimi psami - dwoma owczarkami niemieckimi (obdarzona takim imieniem nie mogła hodować inne rasy niż ta) - dziadek mawiał, że stanowiły one substytut męża, którego swego czasu zamieniła na prezesurę oddziału Związku Kynologicznego, zresztą - nikt nie wiedział jak było naprawdę, nikt nie pytał, a ona sama - przedłożyła działalność społeczną nad dobro osobiste. Psia nacja, w owym czasie,

znaczyła swoje terytoria odchodami setek wałęsających się po ulicach bezpańskich kundli.

- Naród ten, zwierzęcy, jest znacznie lepiej zorganizowany niż społeczeństwo socjalistyczne - nie robi pod siebie. - mawiała pani Irma, a dziadek kiwał wówczas głową, wzdychał i, ścisząc głos, intonował Żeby Polska była Polską. Znaczyło to dla mnie wtedy tyle samo, co masło maślane, ale cóż ja tam znałem się na psach.

"Kiedyś (było to w trakcie rodzinnych wczasów, spędzanych w jednym z przyplazowych nadbałtyckich hotelików), spacerując po deptaku, pięcioletni gówniarz, nuciłem tę piosenkę (rzecz jasna jedynymi jej słowami, jakie podówczas znałem były tytułowe). Zaczepił mnie wówczas starszy mężczyzna i, posławszy mamie znaczący uśmiech, odparł:

- Wie pani, będzie z niego przyzwoity człowiek. Tylko, niech nie śpiewa tego głośno.

Nie rozumiałem, dlaczego mam nie śpiewać, nie pojmowałem co takiego moje mamrotanie miałoby mieć wspólnego z przyzwoitością, zachęcony jednak obcym przyzwoleniem - postanowiłem, że drzeć się będę w każdy następny wieczór, aż do końca wakacji. Trzy dni później pod pensjonat zajechał milicyjny radiowóz, a następnego ranka, tato zabrał mnie do domu."

Pierwsze piętro zajmowała dentystka, opanowawszy klatkę schodową za pomocą zapachowej gabinetowo - kuchennej mieszanki i wrzaskiem okaleczanych szczękowo nieszczęśników, wciąż domagała się anschlussu piętra trzeciego, prowadząc ciągłą podjazdową wojnę z, mieszkającą tam wraz z córką - Szczagielską. Przysparzało to tej ostatniej dodatkowych zmarszczek na - i tak już pooranej tragediami starczej twarzy, jej córka - magister ekonomii - piła (bijąc na głowę osiągnięcia w tej dziedzinie sąsiada z czwartego - doktora Stacha), co boleśniejsze upadki odwzorowując z sadystyczną pieczołowitością na matczynym ciele. Podczas, gdy doktor Stach pił na tym swoim najwyższym pięterku w ciszy (kontemplując zapewne nieuprawnioną bliskość Stwórcy), gaśł powoli i niepostrzeżenie, młoda Szczagielska oznaczała każdą opróżnioną butelkę zwierzęcym wrzaskiem, dziką orgią urządzaną przez zdefragmentowane, przeżarte etanolem synapsy, wychodzili na klatkę schodową wówczas: i dentystka i dziadek i nawet jednonogi Golem, wraz z chórem irmowych psów, wszyscy zaczęli ujadać, szczekać, kąsać, plątać się w tańcu - dziwaczny był ten taniec - z metrum wybijanym przybyłkowymi laskami - inkrustowany krzykiem, zawodzeniem i wyciem, nakrapiany kunsztownymi przekleństwami korowód, zaimpregnowany wściekłością różaniec, którego paciorkami były klatkowe schody a wiązaniem - zawiść ludzka, pieczołowicie pielęgnowana w domach, przenoszona z pokolenia na pokolenie, niezniszczalna, niczym Partia. Szaleństwo to kończyło się, wraz z pierwszym womitem niedosłej księgowej, zazwyczaj krwistym, wystrzelonym na którąś z sąsiedzkich wycieraczek, po którym to - zalegała cisza, a uczestnicy owego misterium, nie odkrywszy przyczyn swoich nienawiści, szczepieni w morderczych uściskach, bezkształtni, zaczęli jedynie warczeć, i gdy początkowa izometria wrzasku przeradzała się w rytm ataktyczny, nierównomierny, coraz to szybszy, nieczysty - wracali do siebie, by móc spokojnie, w domowych zaciszach wyczekiwać kolejnego szczagielskiego dramatycznie szklanego dna. Często jednak nic więcej się nie działo - bolesna ekonomia nie pozwalała ekonomistce chlać w nieskończoność, i wówczas kamienica zasypiała, światła gaśły wraz z oddechami, ustępując pola prawdziwym właścicielom murów. Szczurom.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.